

— Panie Pawełku, dam panu jedną radę, ambicja to duża energia, trzeba ją oszczędzać. Nie należy szafować ambicją z byle błędnego powodu. A zatem dowidzenia, jutro o 8-jej!

Odłożyła słuchawkę.

— Dziwna istota — pomyślał Paweł, opadając bezwładną głową na poduszki. Przeciwnie leniwinie ramiona, przyczem dosłyszał lekkie trzeszczenie w stawach.

— Młody starczy, albo stary młodzieńcze! żyjesz w kompletnym zastoju — przemówił do siebie w duchu — nawet trudno to nazwać życiem, poprostu trwasz. Gnaty ci trzeszczą, marniejesz, niczem koń zastaly w stajni. Powinieneś się wprzągnąć do twardego pługa. Organizm ludzki to maszyna — maszyna nie może długo stać bez ruchu!...

— Dziwna zaiste kobieta i nie wiem czego chce — począł się zastanawiać, odpędzając niemile myśli.

— Ciekawe, jak też wygląda? W poprzedniej rozmowie mówiła, że prowadziłem z nią kiedyś częste rozmowy... nie, nie przypominam sobie tego zupełnie.

Zgrzytnął klucz w zamku i do pokoju wszedł Frania. Wartyby napomknąć coś niecoś o tej postaci, która odznaczała się tem, że na pierwszy rzut oka nie budziła w nikim zaufania.

Frano był synem stróża i pełnił funkcje windziarza. Winda była starego typu, wprawiana w ruch korbą, z którą nie każdy umiał się obchodzić. Wprawdzie wystarczyłoby dziesięć minutowe przeszkolenie lokatorów, ażeby wszyscy mogli posiąść tę wiedzę, ale nikt się do tego nie kwapił i z tej racji umiejętność puszczenia w ruch korby, stała się wyłączną specjalnością Frania.

Łatwy ten fach, dawał przywilej zbierania napiwków, stanowiących dla niego podstawowy zarobek. Ponadto Franio wyręczał czasami swoją siostrę Helkę, która obsługiwała kawalerskie pokoje.

Paweł czuł instynktowną niechęć do tego windziarza.

— Czyście zwrócili uwagę na jego wstrętą posturę? — pytał zwykle kolegów, którym się nadarzyła sposobność zobaczenia Frania.

— Jakieś kiepskie zapachy wałę od tego faceta, stary ser, czy kwaszona kapusta, djabieł wie co — mruczał, krzywiąc się niechętnie.

Frano natomiast w stosunku do Pawła był ugrzeczniejszy, czem denerwował go jeszcze Dzubieli.

W tej chwili Frano przybył w zastępstwie Helki, posprzątać w pokoju.

Paweł nie spojrział nawet na tę figurę, nie chciał psuć sobie humoru.

— Czego tam? — rzucił przez ramie.

— Przychodzę porobić porządki u szanownego pana, znakiem tego, że Helka nie może — tłumaczył się Frano skrzypiącym niemiłym głosem.

— A cóż się znów stało Helce?

— Nie wiem, jak wczoraj wyszła, to do tej pory jeszcze nie wróciła.

Paweł przypomniał sobie, że Helka, dość ładna zresztą dziewczyna, w ostatnich dniach systematycznie zmieniała swój wygląd. Malowała usta jaskrawą pomadką, a brwi pociągała węglem czy też sadzą z komina, co wprawdzie twarzy nie upiększało, lecz zato podkreślało w jej charakterze pewne wyraźne tendencje.

Ugodniwszy te spostrzeżenia z odpowiedzią Frania, Paweł nie pytał go o nic więcej.

— No, to sprzątaj, tylko mi nie hałasuj! — rzucił przestrożę i oddał się rozmyślanom. Teraz dopiero zaprzętnęły jego uwagę myśli, któremi powinien był właściwie rozpocząć dzisiejszy poranek.

Dziwne poznanie się z Dziubielem, mające za tło uroczą postać pani Urszuli w towarzystwie Zalkina, dalej zarysowujące się możliwości pieniężne, Zabrzydowski jako finansista przyszłej spółki czterech i propagandowe interesy...

Po rozstaniu się z majorem Dziubielem, co nastąpiło prawie jednocześnie z usłyszeniem jego nazwiska, Paweł wracał do domu zupełnie oszołomiony.

— Więc to jest Dziubieli!... no patrzcie państwo! — wtórował swym myślom na głos, nie mogąc opanować wielkiego zdumienia.

W niezwyklej spotkaniu tego właśnie człowieka na krętych ścieżkach, jakimi błądził ostatnimi czasami, zaczynał się dopatrywać figl, którego zamiar zrodził się gdzieś poza obrębem rzeczywistości.

Zegnął się z kolegami o świcie na rozstaju jezdni, skropionych rannym przysnkiem, odcignął na stronę Lubystka i szepnął:

— Ani słówka nikomu o tem, co mię łączy z Dziubielem!

Wyznaczyli sobie spotkanie w parku łażeniowskim.

Maciej przyrzekł do tego czasu porozmawiać z teściami o pieniędżach.

Paweł podjął się obowiązku podtrzymania znajomości z Dziubielem telefonicznie.

Na pożegnanie wziął od Lubystka dwuzłotówkę, która mu miała zapewnić dzisiejsze śniadanie.

W koleżeńskiej gwarze pieniądź ten nosił miano „krążka”.

Przypomniał sobie o tej monetcie, zasłyszawszy w swem wnętrzu głuche pomrukiwanie kiszek, które dopominały się pożywienia, nieczem zgłodniałe lwy w Zoo.

Wydobyl „krążek” z kieszeni marynarki i posłał Frania po zakupy. Sam podniósł się z łóżka i począł się zwolna ubierać. Z odbicia swego w lustrze nie był zadowolony, przedstawiało się blade. Zdziwiła go nienaturalna jakaś czerwoność popękanych warg, co świadczyło o przebytej gorączce.

Dużo już zdrowia kosztowała go miłość do pani Urszuli, od której, co najzabawniejsze, nie usłyszał dotychczas dobrego słowa. Trudno mówić tu zresztą o „dobrem słowie”, skoro zamieniła z nim parę zdań za ledwie, wykrzykiwanych w wielkiej irytacji. Nie słyszał nawet jej zwykłego głosu, tego „na codzień”, pamiętał tylko ostre i krzykliwe ton, jakim go zwymyślała dwukrotnie.

Pierwszy raz wtedy na balu i drugi raz... na ulicy, kiedy groziła mu policjantem. Jedynym, jasnym promyczkiem w tej smutnej mikości, reszta uczuć składała się z całego szeregu poniżeń i upodzeń, których mu nie szczędziła, mszcząc się na każdym kroku.

Mówiąc otwarcie, Paweł osoby tej wcale nie znał. Nie wiedział jakie posiada zasoby wiedzy, jakiego rodzaju inteligencję, nie zdolał poznać jej pragnień ani przyzwyczajęń, nie mówiąc już o ukrytych zaletach pani Urszuli, na temat których miewał często wizje. Udaremniając mu dostęp do swojej osoby, co przybrało już cechy zaciętego uporu, stanowiła dla niego zagadkę tembardziej zawila, że pozbawioną możliwości jej dociekania. Trzymana w dręczącym oddaleniu kobiecość Pani Urszuli, gmatwała się w Pawła umyśle, dystansując pod względem swej zawilosci niemal odwieczną tajemnicę bytu. Obecnie miał w ręku klucz do tej zagadki, lub może raczej wytrych.

Tym wytrychem był Dziubieli, mąż pani Urszuli. Należało więc zjednać sobie jego zaufanie, zachowując oczywiście incognito, zdradzenie swych uczuć do jego żony, mogłoby mu odebrać ochotę do zwierzeń. Po namyśle Paweł zdecydował się do niego zadzwonić i umówić się na spotkanie. Dziubieli ucieszył się wielce z tego powodu.

— Przyszanam, że nie liczyłem na pański telefon — mówił wesółym głosem — bo wie pan, te znajomości knajpowe, niezawsze są trwałe, bardzo rad jestem żeście panowie o mnie pamiętali.

Pawła zdziwiło nawet to jego zadowolenie. Później, gdy poznał bliżej Dziubiela, zrozumiał tego przyczynę: Dziubieli „na trzeźwo” nie czuł się ludzka sympatia, był zbyt wieczny i dokuczliwy,

pozaatem często mówił ludziom prawdę w oczy. Miał jeszcze wiele innych przywar, o których pomówimy w odpowiednim czasie. Narazie major wyznaczył spotkanie w miejscu bardzo odległym od mieszkania Pawła.

— Spotkamy się, wie pan na ulicy H. pod numerem 50-ym — ciągnął z rosyjska — poczekaj pan na mnie na dole w bramie, punkt drugi! — było to niezbyt delikatne, — a stamtąd pójdzemy spacerkiem do pańskich koleżków, zakończył tonem, w którym wyczuwało się dawne wojskowe nawyki.

Paweł czuł się tą formą lekko dotknięty, mimo to, zjadł prędko spóźnione śniadanie, odprawił Frania, który wykonywał w pokoju jakieś leniwe funkcje i pośpieszył na wyznaczone przez majora miejsce.

— Gdy znalazł się na ulicy, wionął mu w nozdrza ciepły, wilgotny wiaterek, nasiąknięty zapachem wiosny.

— Był to pierwszy dzień w tym miesiącu, o którym większość mieszkańców stolicy wyraziła się z pewnem uznaniem. Prawdziwy, wiosenny dzień — mówili do siebie ludzie, spoglądając na lekkie obłoki, jak z pianki.

— Wiosenny mamy wiaterek, zwracali uwagę inni, przytrzymując dla pewności kapelusze na głowach.

Istotnie figlarny wietrzyk hulał sobie swobodnie ulicami, dmuchał w wyblakłe twarze przechodniów, bawił się ogonami dorozkarskich koni i, rodmuchiwał spódnice bosych pokojówek, które zajęte myciem szyb, tkwiły w oknach. Ludzie, którym dopisywało bardziej powonienie, mówili poprostu:

— Dzisiaj pachnie wiosną.

I mieli także rację, bowiem wietrzyk, mając szerokie pole do popisu, rozpylał w powietrzu zapachy, które przywiewał skądś zpoza miasta, pewnie z okrytych oziminną pół, dalekich lasów i Bóg wie skąd jeszcze. Czuło się w tym wiatrku zapach wilgotnej gleby, wyzbywającej się resztek brudnego śniegu, znalazła się tam i woń gnijących, zeszlórocznych liści a może było tam również trochę aromatu czystych, białych pierwiosnków. W każdym razie wiosenne te perfumy nie były w kiepskim gatunku, skoro ludzie wdychali powietrze z rozkoszą. Pawła natomiast wiatr owionął smutkiem. Przypomniał mu się dom rodzinny, ogród i drzewa, które pęczniały teraz pod naporem soków.

— Pewnie przyleciały już szpaki — pomyślał naiwnie, łowiąc słuchem pamięci świstanie tych ptaków.

W zamyśleniu przeoczył nawet dom, przed którym miał spotkać Dziubiela. Musiał wracać spowrotem. Dziubieli już czekał na niego w bramie.

— Spóźnił się pan troszeczkę — rzekł na powitanie.

— Miałem dalszą drogę od pana — odciał się Paweł.

— Daleko pan mieszka? — zainteresował się major.

— Na ulicy N.

— O, to daleko.

Czas jakiś szli obok siebie w milczeniu.

— Cy ten pański kolega... ten łysy, mówił już z teściem o pieniędżach — rozpoczął Dziubieli, przystępując odrazu do rzeczy.

— Miał rozmawiać dziś rano, dowiemy się zresztą wkrótce od niego samego, będzie czekać na nas w Łazienkach razem z Lubystkiem.

— Bo widzi pan, zanim przystąpimy do interesów, musimy spisać umowę, zarejestrować naszą spółkę i wynająć lokal w dogodnym punkcie. Dalej — urządzenie biurowe, maszyna do pisania, telefon, trzeba wynająć chłopca na posyłki, słowem musimy sobie stworzyć warunki do pracy, a to wszystko, wie pan, kosztuje.

— Oczywiście — zgodził się Paweł.

— Potem już łatwiej damy sobie radę, realizacja mojego pierwszego pomysłu propagandowego powinna przynieść około dziesięciu tysięcy, a jeśli się okaże, że pomysł dał dobre wyniki, zdobydziemy sobie na stałe świetnego klienta, jakim jest niewątpliwie kartel hurtowników kakao. Później...

— Ach więc tu chodzi o propagandę kakao — podchwycił Paweł — to barzo głośna impreza!

— Właśnie. Ten produkt jest bardzo skwapliwie reklamowany.

— Czy rzeczywiście kakao jest tak pożywne jak głosi reklama? Dziubieli machnął ręką lekceważąco.

— Nic podobnego, o wiele pożywniejsze są powiedzmy, jaja, rzecz w tem, że dookoła wszystko tanieje, a hurtownikom zależy na utrzymaniu dotychczasowej, kartelowej ceny. Gwałtowna ofensywa propagandowa stwarza dla kakao sztuczną koniunkturę, zwiększając popyt, oczywiście tylko do czasu, gdy zajdzie konieczność obniżenia ceny, propaganda stanie się zbędną, narazie jednak dobrze się opłaca.

Rzucając luźne uwagi zmierzali do łażeniowskiego ogrodu. Mijały ich tłumy szarych istot ludzkich, które wypelżyły na wiosenne słońce.

Spoglądając na ich wyblakłe w ciągu zimy twarze, Paweł przypomniał sobie niektóre hasła hurtowników.

„Kakao wzmacnia organizm!” — głosiły pierwsze strony dzienników.

„W kakao siła!” — wołał donośnie gruby głos z ekranów.

„Chcesz być silnym, zdrowym spożywaj dużo kakao!” — obiecywały wielkie plakaty, umieszczane na placach, gmachach, stacjach kolejowych i sportowych boiskach.

Wczytując się w te napisy, miało się wrażenie, że kakao jest środkiem na wszelkie dolegliwości. Od niemowiaw w kolyskach poczynawszy, a kończąc na stojących nad grobami starców, wszystkim gwałtownie zalecano kakao. Zwiększając konsumpcję tego artykułu, grubas mógł pozbyć się z ławością tuszy, chudy przytyć, paniom kakao dobrze robiło na cerę, a dzieci zabezpieczało przed angielską chorobą. Uporczywa reklama weiskała się wszędzie, wykorzystując każdą szczelinę ludzkiej łatwowierności.

Propagatorzy tego artykułu skomponowali nawet książkę kucharską, której wszystkie przepisy przyrządzania potraw zalecały domieszkę kakao.

W tych warunkach trudno już było wyobrazić sobie człowieka, który ośmieliłby się zjeść dajmy na to talerz grochówki, nie wsypawszy do niej kakao.

— A jednak ludzie są bardzo łatwowierni — zauważył Paweł, wtórując swym myślom na głos.

— Jak owce panie, jak owce — potakiwał Dziubieli — i dlatego chcąc się dorabiać na ludzkiej łatwowierności, trzeba tak się urządzać, aby mieć do czynienia ze stadem. Masa jest znacznie łatwiejszą do opanowania niż pojedyncze jednostki. Łatwowierność jest właściwością każdego stada.

Gdy wchodzili w bezbarwną i pustą zazwyczaj ulicę W., przed stynną, starą winiarnią, zajeżdżało auto. Dziubieli wskazał je ruchem ręki.

— Znam ten wóz, piękna ma linę — rzekł, wykonując w powietrzu pieszczoty ruch dłonią.

Gdy to mówił, otworzyły się drzwiczki pięknej limuzyny i na chodnik wyskoczył ostrowłosy griffon. Wsiadł za nim wysunął się z auta, kusząco zgrabny, damski pantofelek. Prac naprzód i niecierpliwie szarpnąc za smycz, griffon wyciągnął z głębi limuzyny wspaniałe futro, karakulowe, dwa srebrne lisy, ostatni paryski model kapelusza i wiele innych kosztowności, które wlewały w siebie piękny kształt niewieści.

Elegantka zatrzasnęła w pośpiechu drzwi auta, rzuciła okiem przelotnie na Dziubiela i Pawła — dwóch zwykłych gapiów, po-

czem wciągnięta gwałtem przez griffona, wpadła do wnętrza winiarni. Z osobistych jej wdzięków Paweł dostrzegł jedynie czerwien pomadki na ustach i loki utlenione na kolor słomy. Przez chwilę stali obaj wpatrzni w puste drzwi winiarni.

— Jak panu się podobało to zjawisko? — zapytał Dziubieli po chwili milczenia.

— Nie przyjrzałem jej się dokładnie, zdaje się, że ładna — odrzekł Paweł, wpatrując się w błotniki auta.

— To jest słynna niegdvś tancerka Mimi Rover, obecnie żona pana Kurzawki.

— Cóż to za jeden?

— Jaktó, nie słyszał pan o Kurzawce? — To znany fabrykant, bardzo już stary i zany jęgomość.

— I cóż ten pan fabrykuje? — zainteresował się Paweł.

— Pan Kurzawka wyrabia sztyfty.

— Jakie sztyfty?

— Różne, większe i mniejsze, sztyfty do butów, to duży przemysł.

— Hm, to dziwne, wierzyć mi się nie chce — mruknął Paweł i pociągnął Dziubiela za rękaw.

— Chodźmy, tam już pewnie czekają w Łazienkach.

Przez chwilę szli w milczeniu, obserwując przechodniów, którzy pomimo eleganckiej dzielnicy, mieli wygląd tandetny i wypłowiały.

— Wie pan, gdy patrzę na tych ludzi, zauważam brak ładnych kobiet — odezwał się Dziubieli, — a tyle się mówiło o urodzie Polek.

— Nic dziwnego, — odrzekł Paweł — co ładniejsze zostały już wykupione przez panów Kurzawków, którzy trzymają te ptaki pozamykane w klatkach - limuzynach, mniej ładne chodzą na wolności. Wie pan, panie majorze, dopóki natura będzie stwarzała tak drobny odsetek urodziwych kobiet, nie uwierzę nigdy w ideę równości. Cóż to mi za „egalité”, gdzie większości przypada w udziale brzydota, a nielicznym tak piękne kobiety, że oczy wylazą z zachwyty.

Niestety, idea równości nie bierze damskich wdzięków pod uwagę.

— To źle, bo nieraz są one więcej warte, niż kapitał.

Dziubieli nic na to nie odpowiedział, zamyślił się tylko. Nerwowym ruchem palców skubał podbrudek, opuścił głowę nisko i patrzył przed siebie na chodnik dreptał małymi kroczkami. Coś przywoływało w pamięci i rozpamiętywał.

Gdy mijali kościół św. Aleksandra, zastąpił im drogę żebrak.

— Co łaska, panowie — wesprzyjcie bezrobotnego! — mamlął spopielałymi wargami.

Na ciele nosił brudne, wszawie ubranie, na nogach resztki spękanego obuwia. W jednym bucie wierzch ledwie się trzymał zółwki. Żebrak owinął go sznurkiem. Mimo to przy każdym poruszeniu stopy, but rozwierał paszczę krokodyla, błyskając zębami sztyftów. Paweł trącił Dziubiela i pokazując na ten but żaloszny, spytał z ironią:

— Czy o takich sztyftach pan mówił?

Dziubieli ocknął się z zamyślenia i przypomniał sobie poprzednią rozmowę.

— Tak, to są właśnie wyroby pana Kurzawki.

— Więc to stąd ta tancerka, limuzyna i inne wspaniałości? — dopytywał się Paweł w bolesnem zdziwieniu.

— Tak, wszystko zrobione na sztyftach do butów, nawięten wybitnie rasowy griffon.

To rzekłszy Dziubieli zapadł znowu w odrętwienie. Zapatrzył się teraz przed siebie tem szklistem spojrzeniem, które miewają ludzie, marzący na jawie. Oczy miał wpół otwarte, ale wzrok nie ogarniał pola widzenia. W tej chwili błakał się w starych składach wyobraźni, wertując dawne klisze i odbitki, na których rysowały się sprawy minione. Paweł uznał tę chwilę za sposobną dla poruszenia delikatnej sprawy. Wydało mu się, że teraz właśnie Dziubieli myśli o tem, co opłacało ich obu pasmem wspólnego cierpienia. Sformułował na prędce niewinne pytanie i rzucił je tak sobie, niby odniechcenia.

— Przepraszam, chciałem pana zapytać, czy... pan jest żonaty?

— I jeszcze nie przebrzmiały mu w ustach jego własne słowa, a już zmiarkował, że ton w jakim pytanie to wypowiedział, wypadł nieco fałszywie. Odchylenie było niewielkie, najwyżej o jedną ósmą od zwykłego tonu. Widocznie jednak Dziubieli wyczuł tę drobną różnicę, bowiem spojrzął na Pawła zukosa i odpowiedział spokojnie, tonem głębokiej powagi.

— Nie, panie, nie byłem nigdy żonaty i pewnie już zostanę starym kawalerem.

Paweł nie mógł sobie darować tego posunięcia.

— Niepotrzebnie się wyrwalem — myślał z wyrzutem — i co gorsza przeknąłem ślinę w połowie pytania, przez co timbre głosu zaznaczył się fałszem. Powiniennem był jeszcze poczekać.

Resztę drogi odbyli nie mówiąc do siebie ni słowa. Gdy podeszli pod umówiony pomnik Chopina, Paweł ujrzał liczniejsze grono czekających. Oprócz Lubystka i Zabrzydowskiego znalazły się tam jeszcze dwie nowe postacie, starszy pan drobnej postawy i młoda, średniego wzrostu kobieta. Na czoło grupy wysunął się Zabrzydowski. Zdjął kapelusz i kłaniał się zdaleka. W wiosennem słońcu świeciła się jego lysinka, a jasne, nieliczne włosy drżały na wietrze. Był bardzo zmieszany, witał się z przybyłymi, nalożył szybko kapelusz, aby móc się ukłonić każdemu osobno. Podprowadził ich do kobiety, z którą Lubystek stał na uboczu.

— Pozwól, kochanie... — mówił urywany szeptem — pan doktor Dziubieli, biolog... i mój kolega szkolny i przyjaciel. tak, wielki przyjaciel... pan Popielec — a to moja żona.

Podobna ceremonia odbyła się ze starszym panem.

— A to mój ojciec, pan Lędzian — objaśnił Maciej przybyłym, poczem wydobywając z kieszeni chustkę do nosa, upuścił na ziemię kapelusz, a wycierając czoło, zgrane z emocji, stracił ze swego nosa okulary.

Wciąż gwałt się w ukłonach i skwapliwie zabiegał, wszystkich przepaszal, słowem był bardzo onieśmielony. Pan Lędzian natomiast, teś Zabrzydowskiego, wykazywał o wiele mniej zakłopotania. Jego swobodnie, wykintnie niemal poruszenia, były nacechowane dostojnym umiarem. Zdjął czarny kapelusz o szerokim rondzie, przyczem odstąpił buiną grzywę włosów, białych jak mleko.

— Bardzo mi miło powitać panów, pozwoliłem sobie przyjąć razem z dziećmi na umówioną naradę.

Miał głos nosowy, nieco metaliczny i nie wymawiał litery r. Poruszając sprawy zwykle i oczywiste, pan Lędzian wypowiadał je tak, jakgdyby miały wagę wielkiej tajemnicy. Unosił przytem w górę brwi, które w odróżnieniu od włosów były czarne jak sadza. Przyjrząwszy mu się pobieżnie, Paweł skierował spojrzenie na żonę Macieja.

Była podobna do swego ojca. Brunetka, o ciemnej, oliwkowej cerze i piwnych oczach. Miała jednak coś w rysach, czego próżno byłoby szukać w obliczu pana Lędziana. W wyrazie jej twarzy ukrywały się jakieś nieprzychylnie intencje. Czy to w pusku, okalającym brzeg górnej wargi, czy też w nozdrzach, które zbyt często ruszały się niespokojnie, a najprawdopodobniej w spojrzeniu ciekawskiem i penetrującym, czała się owa niepokojąca zmysłowość. Ubrana była sztywnie i z dużą śmiałością fantazji. Dopelnienia jej stroju pół sportowego, w rodzaju piórka na kapeluszu, rękawiczek, dziwacznej gałki u parasolki i jaskrawej torebki, przemawiały za jej skłonnością do eksperymentalizmu...

DALSZY CIĄG W PONIEDZIAŁKOWYM NUMERZE „ABU